

MARTA KRAJEWSKA

DZIEŃ MIĘDZY ŻAŁEM I ŁODEM

ILUSTRACJE: BERNADETA L. GUSTYN



MARTA KRAJEWSKA

DZIEŃ MIĘDZY ŻAŁEM I LODEM



SPIS TREŚCI

Kozdźział 1	4
Kozdźział 2	16
Kozdźział 3	28
Kozdźział 4	41
Kozdźział 5	52
Kozdźział 6	63
Kozdźział 7	73
Kozdźział 8	85
Kozdźział 9	96
Kozdźział 10	105
Kozdźział 11	118
Kozdźział 12	128
Kozdźział 13	139
Kozdźział 14	148
Kozdźział 15	158
Kozdźział 16	171

Rozdział I

Ogień wśród śniegu

Bratnił wbijał wzrok w zamrożone jezioro.

Zimowy krajobraz był senny i cichy. W lesie za plecami chłopaka nie krzyczał ani jeden ptak. Najłżejszy wiatr nie poruszał suchą trzcina porastającą brzeg, lecz nawet bez pomocy wichru mróz szczypał chłopca boleśnie w nos i policzki. Resztę ciała miał dobrze osłoniętą ciepłymi portkami, owijaczami na łydkach i długą kapotą z baraniej skóry, wywiniętej włosem do środka. Wydziergane na igle przez matkę wełniane rękawice z jednym palcem odbierały zręczność dłoniom, ale za to cudownie je grzały, a czapka chroniła głowę i nawet szło się przyzwyczaić do tego, że nieprzyjemnie gryzła w czoło.

Jednak Bratmił w ogóle nie zwracał na to uwagi, w skupieniu patrząc na tafłę lodu pokrytą cienką warstwą śniegu.

Nie podobało mu się to, co widział.

Uczył się u opiekunki już piątą zimę i zdążył się naoglądać nie tylko ludzi chorych, ale też połamanych i poranionych przez bestie. Samych potworów jeszcze nie spotkał, Chaberka robiła wszystko, by trzymać je z daleka od ucznia i od całej wsi. Miłek nie raz jednak widział, co potrafiły zrobić ofiarom, opatrywał też rany opiekunce i za każdym razem musiał tłumić narastający w sercu niepokój.

Kiedys Chaberki zabraknie. A wtedy to on będzie stawał naprzeciw złu zagrażającemu Wilczej Dolinie.

Z wolna przyzwyczajał się do tej myśli, choć nie znaczyło to, że był gotowy, by zostać opiekunem.

Ostatniego roku sporo podrósł i wzrostem zrównał się z matką, ale do ojca było mu jeszcze daleko. Jego ciało wciąż pozostawało chude, nogi i ręce sprawiały wrażenie nazbyt długich, a Miłek, jakby nie nadążając za zmianami, stał się niezdarny i pokraczny w ruchach. I choć w tym samym czasie jego głowę wypełniało coraz wię-

cej przydatnej wiedzy, wcale nie czuł się pewny siebie.

Zmrużył jasne oczy i odetchnął głęboko. Jego oddech zmienił się w kłębek pary i rozpląnął w powietrzu.

Wtem śnieżna kulka trafiła go w tył głowy.

Bratnił stęknął zaskoczony. Gruba czapka zmniejszyła ból uderzenia, ale zaraz poczuł śnieg wpadający za kołnierz. Próbował go wygarnąć grubą rękawicą, ale zimna, nieprzyjemna strużka stopionego śniegu już spływała mu po kręgosłupie.

– Nie śpij, bo cię ukradną! – usłyszał wesoły, skrzekliwy głos.

Miłek odwrócił się spokojnie, tłumiąc zdenerwowanie.

– Okradną – mruknął ponuro, wciąż walcząc ze śniegiem za kołnierzem. – Mówi się „okradną”, nie „ukradną”, tłumoku.

Munek wzruszył kościstymi ramionami, szczerząc radośnie dwa rzędy spiczastych zębów.

– No już nie ukradną, bo cię obudziłem! – stwierdził. – Nie ma za co.

Miłek zdjął rękawiczkę i zniesmaczony wyciągnął zza kołnierza wyjątkowo duży kawałek śniegu. Tymczasem mamun podszedł rażno, naj-

wyraźniej bardzo zadowolony z siebie. Ruszał się trochę śmiesznie, jakby jego kolana uginały się za mocno, bujając Munkiem w górę i w dół przy każdym kroku. Na czubku wielkiej głowy o szpiczastych, odstających uszach, czapka walczyła o utrzymanie się na sterczących we wszystkie strony włosach. Była to stara czapka Bratmiła, którą chłopak podarował przyjacielowi w poprzednie Szczodre Gody. Podobnie reszta odzienia - połatane na kolanach lniane portki i dziurawe łapcie z łyka - też należała wcześniej do niego.

Bratmił wiedział, że mamun nie odczuwał zimna i nosił odzienie jedynie z sentymentu lub by wydawać się bardziej ludzkim. Mimo to Miłek miał wrażenie, że nigdy nie przywyknie do widoku chudej postaci o wzdętym brzuchu, łązającej po śniegu bez koszuli, w samych tylko portkach i łapciach. Jedynym dowodem na to, że mamun odnotowuje obecność zimy, była nieszczęsna czapka usiłująca nie spaść ze strzechy sztywnych, ciemnych włosów.

– Czego po mrozie łązisz? – zagadnął Munek wciąż w świetnym humorze.

Kiedy stanęli obok siebie, łypnął uważnie na ludzkiego chłopca.

– Ty urosłeś, czy to ta czapka?



Bratmił, czując jak mokre palce drętwieją od mrozu, szybko wsunął dłoń na powrót w rękawicę.

– Czapka – odparł obojętnym tonem.

Munek rósł niczym zwierzę. Po dwóch wiosnach od narodzin był już tak duży jak obecnie, co napełniło go dumą i stało się źródłem uszczypliwości wobec Bratmiła. Ale potem zatrzymał się i Miłek, choć powoli, zaczął go doganiać. Gdzieś na jesieni zrównali się wzrostem i mamunowi przestało się to podobać. Bratmił nie wiedział, jakie fochy przyjdzie mu znieść, gdy przerośnie przyjaciela o głowę albo więcej.

– Chyba będą kłopoty – rzucił niechętnie, choć wcale nie chodziło mu o ich wzrost. – Zobacz.

Ruchem głowy wskazał na jezioro, w które jeszcze niedawno tak intensywnie się wpatrywał.

Munek powiódł spojrzeniem wyłupiastych ślepi po ścieżce między suchym sitowiem i odciśniętymi w śniegu śladami stóp, uciekającymi w głąb przyprószonej śniegiem tafli lodu.

Po chwili zmarszczył wypukłości nad oczami, ledwie porośłe cienkimi brwiami.

– Ooo... – mruknął przeciągle, nagle zaciekawiony. – Bose.

Bratmił westchnął cicho.

– Ano właśnie. Idą od lasu, znalazłem je, jak wracałem ze świętego gaju.

– Od lasu... – powtórzył mamun w zamyśleniu. – To dziwne.

Co do tego obaj nie mieli wątpliwości. Ślady bosych stóp w środku zimy wyglądały niepokojąco.

– Muszę powiedzieć opiekunce – uznał Bratmił. – Nie dalej jak kilka dni temu Falibor, ten dzieciak od rybaków, też mówił o śladach na jeziorze, ale mu nikt nie uwierzył. Dobrawka mi mówiła, bo śmiali się z niego trochę – dodał w drodze wyjaśnień.

– Aha – mruknął Munek.

Myślami był jednak w lesie.

– Nie wiem, kto z naszych mógłby tu łązić – przyznał po chwili zastanowienia. – Ale mogę popytać.

– Dzięki. – Bratmił skinął mu głową. – Jezioro zimą zawsze zdawało mi się takie spokojne...

Munek wzruszył ramionami, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

– Idziemy po śladach? – zaproponował w końcu, ale Miłek pokręcił głową.

– Nikt jeszcze nie wchodzi na lód. Mróz niby ostry, ale woda od niedawna zamarznięta. Nie ma co kusić złego.

– To co robimy?

– Nie wiem – odparł z ociąganiem uczeń opiekunki. – Tak po prawdzie, to wybierałem się na ruiny na ognisko, ale teraz nie wiem, czy nie powinienem biec do wsi i powiedzieć, co widziałem.

Munkowi aż się ślepia zaświeciły, gdy usłyszał o ognisku. Młodzież ze wsi często spotykała się na zamkowych ruinach, sterczących na skale nad doliną. Odkąd Bratmił dorósł na tyle, że i jego dopuszczano do tych zabaw, mamun uwielbiał podglądać, jak spotyka się z innymi. A jeśli Munek nie mógł się gapić niezauważony, zawsze potem wypytywał Bratmiła o wszystkie plotki i opowieści, które przegapił.

Dlatego właśnie teraz parsknął lekceważąco i pokręcił dużą głową.

– Sam mówisz, że słyszeli już o śladach i nijak się nie przejęli. Nic się nie stanie, jak powiesz opiekunce wieczorem. Albo jutro.

Bratmił rozważał jego słowa przez chwilę.

– No... Jutro i tak będę u opiekunki, bo do Dżisławy idziemy.

– No widzisz! – Munek klepnął przyjaciela w plecy. – Ślady nie zajmą, nie ociekną.

Delikatnie popchnął Bratmiła ku ścieżce w stronę ruin.

– Uciekną – poprawił odruchowo Milek, dając się prowadzić. – Zające uciekają, nie ociekają. No pomyśl.

– Uciekają szybciej, kiedy już ociekną! – Munek wyszczerzył zęby zadowolony i już po chwili obaj sunęli ku skale nad wioską.

Śnieg skrzypiał im pod butami.

Wciąż rozprawiając o śladach bosych stóp, wspięli się zboczem przez las. Gdy drzewa się skończyły, odsłaniając ośnieżoną łąkę na szczycie wzgórza i tkwiące na jej czubku ruiny, Munek zatrzymał się z zalem.

– Nie możesz iść dalej – przypomniał Bratmił. – Zobaczą twoje ślady na śniegu.

Mamun zgodził się niechętnie.

– Opowiesz mi wszystko jutro?

– Pewnie, jeśli tylko uda nam się spotkać. Nie wiem, co mi każe zrobić opiekunka, kiedy jej opowiem o tropach.

Munek zwiesił smętnie wielką głowę, westchnął, pożegnał się pełnym poczucia niesprawiedliwości burknięciem i odszedł w las.

Bratmił zaś przemierzył okrytą białym puchem łąkę i niską kamienną bramą wszedł na dziedziniec twierdzy. Na środku niewielkiego, otoczonego osypującymi się murami placu



płonęło ognisko, a bijący od niego żar topił za-
legający najbliżej śnieg. Wokół ognia na kamie-
niach i pieńkach siedziało pięć młodych osób.
Wśród nich Bratmił natychmiast dostrzegł wy-
soką, misiowatą postać Gniewka i odruchowo
skierował się ku niemu.

Przywitał się, dając znać o swym przybyciu,
ale poza Gniewkiem nikt nie zwrócił na niego
uwagi, bo przy ognisku toczyła się zażarta dys-
kusja o rzeczach ważnych i strasznych.

– Nie zjadali ludzi! – Kręcił głową Krzesąd,
syn bartnika, młodzieniec niemalże już dorosły,
a na pewno najstarszy z zebranych.

Jego dziewczyna, pulchna Cedonka o oczach
ciepłych i bystrych, poklepała go uspokajająco
po ramieniu i przytuliła się śmiało.

– Właśnie zjadali! – darł się Narad, serdeczny
przyjaciel Krzesąda, prawie podrywając się ze
swojego pieńka.

Bratmił usiadł naprzeciwko nich, tuż przy
Gniewku, i szybko próbował się zorientować,
o co idzie starszym.

– Co zimę kazali sobie posyłać kogoś ze wsi
– ciągnął zapalczywie Narad. – A jak ktoś już
do zamku poszedł, to nie wracał. Dlatego przed
Szcodrymi Godami obchodzimy wilcze święta!

Bo dawniej to było pożegnanie ofiary, która szła do wilkarów, tu do tej twierdzy. I bogowie tylko wiedzą, co z nią dalej robili.

– Wilcze święta są po to, żeby wilki nie podchodziły do wsi – wtrącił się twardo Krzesąd.

– Teraz tak – zgodził się Narad, błyskając oczami. – Ale dawno, dawno temu tutaj mieszkali i stąd rządzili nami wilkarzy. I zjadali nas. To nie legenda. To prawda.

KOZÓZIAŁ 2

PŁOMIEŃ GNIEWU

– Straszysz Sójkę – Krzesąd spochmurniał, posyłając przyjacielowi karcące spojrzenie.

Narad zawahał się. Niepewnie zerknął na siedzącą między nim a bartnikiem dziewczynkę. Miała może dziesięć wiosen i była za mała, żeby przychodzić na ogniska, ale że jej brat był tu najstarszy, właściwie niemal dorosły, miał dziewczynę, a niedługo może nawet i żonę, toteż nikt nie odganiał jego siostry ze spotkań.

– Nie boję się – wypaliła zresztą mała, pyskata jak zawsze. – Przecie wilkarów już i tak nie ma – dodała przytomnie.

Narad prychnął lekceważąco.

– Są, są! Czasem któryś wraca, tylko dorośli nie mówią tego takim małym słodkim dziewczynkom jak ty.

Zielone oczy Sójki roziskrzyły się ze zdziwienia i ciekawości, lecz nim zdążyła o cokolwiek zapytać, jej brat warknął:

– A ucisz się wreszcie, Narad!

Miłek i Gniewko w milczeniu obserwowali, jak starsi mierzą się wrogimi spojrzeniami. Przyjaźnili się, ale w tamtej chwili wyglądali, jakby mieli zaraz skoczyć sobie do gardeł.

– Nie uciszaj go! – zganiła brata Sójka. – Chyba lepiej, żebyśmy wiedzieli, jeśli to prawda!

A potem niespodziewanie przeniosła spojrzenie na Bratmiła.

– Ty wiesz, no nie? – zapytała podekscytowana.

Oczy wszystkich zwróciły się na młodego ucznia opiekunki.

Miłek całą siłą woli opanował się, żeby nie drgnąć i nie przełknąć nerwowo śliny. Oczywiście mógł się spodziewać, że w końcu komuś przyjdzie do głowy, że kto jak kto, ale przyszły opiekun z pewnością wie o potworach więcej, niż pozostali razem wzięci.

Postarał się zdusić niepewność, w jaką wprawiły go wyczekujące spojrzenia starszych chłopaków, i zmusił się do lekkiego tonu.

– Tak, wiem – powiedział spokojnie. A że najwyraźniej czekali, aż rozwinie myśl, dodał: – Wilcze święta obchodzimy, żeby obłaskawić wilki, bo zimą ich apetyty są większe, a noce stają się długie i niebezpieczne dla ludzi.

Narad prychnął, bez słów dając do zrozumienia, co sądzi o słowach Bratmiła.

– Ale! – Miłek spojrzał na niego dobitnie. – Kiedy jeszcze władali nami wilkarzy, obrzęd wilczych świąt miał nas chronić głównie przed nimi.

– Bo nas zjadali – doprecyzował Narad i wszyscy wpatrzyli się w Bratmiła dwa razy bardziej intensywnie, oczekując jego odpowiedzi.

Chłopak spokojnie skinął głową.

– Tak, czasem tak – przyznał. – Ale to nie takie proste, oni nie byli...

– I wcale nie wszyscy przypadli, prawda? – Narad wszedł mu w słowo z wyraźnym triumfem. – Czasem jeszcze pojawiają się w okolicy, tak mówi mój dziadek.

Teraz już Bratmiłowi nie udało się powstrzymać nerwowego przełknięcia śliny.

– Tak – przyznał niechętnie. – Podobno od czasu do czasu zjawiają się, ale nie wiadomo...

– No i kto miał rację?! – Narad znów puścił mimo uszu dalsze słowa Bratmiła, szczerząc dumnie zęby do Krzesąda.

Ten obrzucił przyjaciela ponurym spojrzeniem, choć w jego ruchach pojawiła się lekka niepewność.

Boisz się?, pomyślał Bratmił. Witaj w moim świecie.

Miny Gniewka i Cedonki również zrzędyły i całkiem możliwe, że woleliby wcale nie wiedzieć o pewnych dziejących się wokół rzeczach. Wyglądali, jakby chcieli być zupełnie gdzieś indziej, w ciepłej i bezpiecznej chacie na przykład. A nie w ruinach dawnej wilkarskiej siedziby, otoczeni śniegiem, mrozem i zapadającym zmrokiem. Młody kowal pochylił głowę, udając, że skupia się w całości na przełamaniu patyka, który chciał wrzucić do ogniska. Dziewczyna zaś mocniej przyłgnęła do ramienia Krzesąda, poszukując w nim poczucia bezpieczeństwa.

Nawet Sójka, tak dotąd zaciekawiona, wydawała się żałować, że drążyła temat. Narad dostrzegł jej minę i najwyraźniej zrobiło mu się głupio.

– I dlatego właśnie musimy się przyłożyć do tego świętowania – oświadczył, jakby cały czas chodziło mu właśnie o taką konkluzję. – Za parę dni wilcze święta. Opiekunka odprawi rytuał jak zawsze i cała zła moc zniknie!

Krzesąd gestem dłoni powstrzymał Gniewka przed dołożeniem drew do ognia.

– Lepiej się zbierajmy – powiedziała Cedonka, puszczając ramię chłopaka i podnosząc się z pniaka. – Dni są bardzo krótkie, a po tej całej gadce jakoś nie spieszy mi się wracać po ciemku.

Wszyscy zgodzili się z nią, i choć żaden z chłopców nie chciał wyjść na tchórza, to każdy w duchu cieszył się, że Cedonka wypowiedziała na głos to, o czym myśleli.

– Oj tam! – Narad jako jedyny wciąż zgrywał bohatera. – Przecież wilkar tak od razu nie wyskoczy na nas z lasu. A poza tym – tu błysnął uśmiechem ku Bratmiłowi i puścił doń żartobliwie oczko – jeśli nawet, to najpierw zje naszego Prawie Opiekuna.

Miłka ścisnęło w brzuchu na te słowa. Odwzajemnił uśmiech chłopaka bardzo surowym spojrzeniem.

– Narad! – warknął tymczasem Krzesąd i walnął kumpla w tył głowy. – Zamknij się wreszcie!

*

Zeszli ze wzgórza, gdy słabe, zimowe słońce chowało się za szczytami gór. Już niedługo świa-

tło miało się odrodzić i zacząć odzyskiwać władzę nad światem, ale na razie tarcza Swaroga zdawała się ledwie wlec po niebie. Z dnia na dzień słabła i coraz szybciej opadała za góry dla odpoczynku, a mrok deptał jej po ognistych piętach.

Gdy grupka młodych ludzi wyłoniła się z lasu i ruszyła prostą drogą ku wsi, śnieg nabierał już niebieskawego, wieczornego odcienia. Do zapadnięcia ciemności był tylko krok. Mimo to na pagórku między lasem i wsią zabawa trwała w najlepsze. Idąca młodzież z daleka usłyszała pisk, śmiechy i ogólną wrzawę towarzyszącą zjeżdżaniu na sankach, bitwie na śnieżki i gonitwach w berka. Bawiły się głównie małe dzieciaki, ale wśród nich były i te starsze, które przychodziły po to, by mieć oko na młodsze rodzeństwo, a tak naprawdę czerpały z zabawy tyle samo radości, co malcy.

– Co oni tu jeszcze robią? – mruknął pod nosem Krzesąd.

Bratmił odruchowo poszukał wzrokiem siostry. Dostrzegł ją wśród dzieci u szczytu pagórka. Wraz z przyjaciółką turlała się po zboczu, zanosząc się śmiechem. Jednocześnie wykrzykiwała wyliczankę, a dotarłszy na dół, otrzepała się i biegiem ruszyła z powrotem na górę.

Mitek nie miał pojęcia, na czym polegała zabawa, ale najwyraźniej przynosiła dziewczynkom dużo uciechy.

Przyspieszył kroku.

– Hej, koniec zabawy! – krzyknął, gdy był już dostatecznie blisko, ale jego głos zniknął w ogólnej wrzawie. – No już! Ściemnia się, wracajcie do chat! Paprotka!

Jego mała, roześmiana, jasnooka siostrzyczka akurat docierała na szczyt pagórka i nie zwróciła na brata uwagi. W jasnych włosach miała pełno śniegu, a długi warkocz wyglądał jak sopel. Bratmił już słyszał połajania matki, gdy mała zjawi się w chacie w takim stanie.

– Ej, dzieciarnia! – Krzesąd stanął obok Miłka i wrzasnął na całe gardło. – Koniec zabawy! Do domów, bo was potwory tu zastaną!

Jego niski, dorosły głos huknął donośnie, odbijając się echem od wzgórze.

Rozbawiona grupa nie ucichła od razu, ale przynajmniej zauważyła, że coś się dzieje. Zaczęli się więc rozglądać, jakby dopiero teraz zauważyli, że słońca nie ma już na niebie. Zaś Krzesąd, Bratmił i reszta przystanęli, by dopilnować, żeby każdy dotarł bezpiecznie do rodziców.



– Paprotka, chodźże już! – darł się Bratmił. – Nie możesz zostać z Mirą, Mira też musi iść do domu! Chodź, bo nas matka zbeszta!

– O, a ten gdzie lezie, jak się ściemnia? – Gniewko zmarszczył brwi, obserwując nadchodzącą od strony wsi postać.

W przeciwieństwie do pozostałych on w mig rozpoznał brata. Reszcie zajęło kilka chwil, nim dostrzegli, że okutana od stóp do głów postać, nerwowo maszerująca udeptaną dróżką od chat, to młodszy syn kowala Niemój, od postrzyżyn przemianowany na Rostka.

– Pewnie ciebie szuka – stwierdził Narad.

Gniewko skinął głową, bo sam też o tym pomyślał, dlatego też zamachał szeroko ramionami w stronę nadchodzącego.

– Hej, Rostek!

Brat zwolnił, a po chwili wahania skręcił, najwyraźniej chcąc ominąć znajomych.

– A temu co? – Gniewko uniósł brwi z zaskoczenia. – Ej, brat! Gdzie leziesz? Przecie zaraz będzie ciemno!

Pobiegł ku chłopakowi.

Krzesąd, Cedonka i Narad obserwowali, jak dogania go, brnąc przez śnieg. W tym czasie Sójka, spuszczone z oka, wdała się w bitkę

na śnieżki z innymi dzieciakami, a Bratmił wciąż nawoływał niesforną Paprotkę.

Odwrócił się, dopiero gdy dotarło do niego, że pozostali starsi coś krzyczą. Odruchowo zerknął, o co chodzi, i zobaczył, że Krzesąd i Narad biegają ku dwóm szamoczącym się w śniegu kowalom.

Oczywiście też ruszył zobaczyć, co się dzieje i o co ta bitka.

Gdy dopadł reszty, Gniewko siedział okra-kiem na młodszym bracie i usiłował pochwycić go za nadgarstki. Rostek wrzeszczał i tłukł starszego szybko, na oślep, bez opamiętania i sensu.

– Spokój! Szaleju się nażarłeś?! – darł się Gniewko, po równi zaskoczony co rozzłoszczony niezrozumiałym atakiem.

– Wiedziałeś! – wył Rostek. – Wiedziałeś, ty wielki... głupi... baranie!

Z wściekłości nie mógł nawet znaleźć należy-cie obelżywych słów.

Narad i Krzesąd śmiali się z boku, dolewając oliwy do ognia.

– Tak jest, młody! Przywał mu! – zagrze-wał Rostka bartnik, klepiąc się z rozbawienia po udach.

Było jasne, że młodszy kowal nie ma szans. Dzięki pracy w kuźni ojca, Gniewko był silniej-

szy i bardziej wytrzymały niż niejeden mężczyzna, co dopiero mówić o młodziku.

Rostek wygrywał przez chwilę zwinnością i szybkością, dodatkowo wzmaganą przez wściekłość, ale nie trwało to długo, aż bratu udało się unieruchomić jego ramiona.

– Uspokój się już! – wycodził przez zaciśnięte zęby, bo młodemu udało się kilka razy boleśnie trafić go w ucho i twarz.

W odpowiedzi Rostek ryknął niczym zwierzę w potrzasku i ani myślał przestać się szarpać.

– Oszalał – skwitował Narad i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Bratmił zaczynał się martwić, że naprawdę coś jest z Rostkiem nie tak.

– Hej, co się stało? – Miłek przykucnął przy przyjacielu.

– Co niby wiedziałem?! – warknął Gniewko.

Rostek przestał się szarpać. Wciąż jednak fuczał wściekle, rozpalony nerwami i bitką.

– O Dobrawce – wysyczał na skraju bezsilnego płaczu.

– A co z nią? – Gniewko potrząsnął głową, nie rozumiejąc.

Bratmiłowi serce zatłukło się w piersi.

Jakieś złe przeczucie ukłuło go w trzewia.

– Że niby nie wiesz? – burknął Rostek. – Akurat!

– Ale o czym?! – Gniewko i Bratmił wyrzucili pytanie równocześnie.

Rostek wbijał w twarz brata pełne złości spojrzenie. Wokół szarzało, kolory znikały, nastawał mrok.

– Nie udawaj, bo nie uwierzę. – Rostek uspokajał się powoli.

Gdy wypowiadał kolejne zdanie, jego głos był już zimny jak otaczający ich wieczór.

– Ojciec chce wysłać swata do rybaków – wyrzucił. – Ożeni cię z Dobrawką. Nie kłam, że nie wiedziałeś.

Dzień między żarem i lodem
Copyright © Marta Krajewska
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2022 r.

książka ISBN 978-83-7995-589-3

ebook ISBN 978-83-7995-590-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Bożena Kurzydłowska
Korekta: Bożena Walewska
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Ilustracje w tekście: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl

W świecie, gdzie puszcza włada leszy,
w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród
chat przemykają zmyry i strzygonie,
młodziutka Venda musi stanąć na straży
bezpieczeństwa mieszkańców
Wilczej Doliny.

Fantastyczna seria pełna
słowiańskiego uroku!

#POLSKAFANTASTYKA
#LITERATURASŁOWIAŃSKA



Mury Irkalli drżą.

Inanna, sumeryjska bogini miłości i wojny, przez wieki znana była pod wieloma imionami. Teraz usiłuje żyć jak zwykła śmiertelniczka, ale jej spokój niweczy wiadomość, której nie może zignorować.

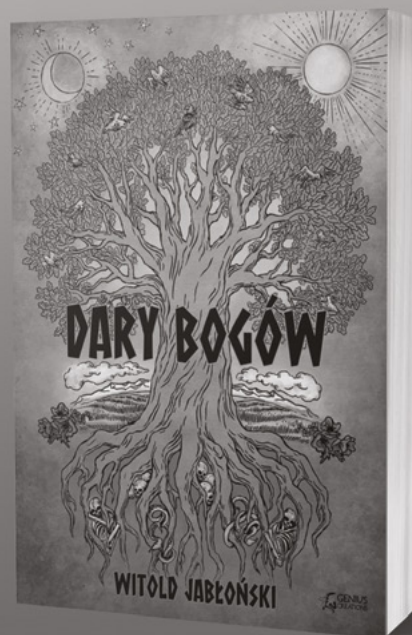
#urbanfantasy #polskafantastyka



Wybierzcie się z nami na błogie
łąki Wyraju oraz na jałowe
pustkowiec groźnej Krainy Zmarłych,
by poznawać ich odwieczne
tajemnice. Otwórzcie serca,
odkryjcie własne korzenie,
wsluchajcie się w głosy przodków...

Mity słowiańskie opowiedziane
w zupełnie nowy sposób!

#SAGASŁOWIAŃSKA #LITERATURASŁOWIAŃSKA



Okrutna słowiańska saga o bogach,
półbogach i bohaterach.

#SAGASŁOWIAŃSKA #LITERATURASŁOWIAŃSKA

